

665 Listy z Polski

Pokpiwają kaledzy z moich podróży sentymentalnych po Polsce, po jej prowincjach. Ze się roztkliwiam, że chwytam powierzchownie zjawisk nie zaś ich głębie. Nie szkodzi. Naczytałem się ja już tych głębokich analiz specjalistów od terenu i zostały mi z nich kostyczne pejzaże fabryk, kominów i sal konferencyjnych.

PROWINCJA zaś — to przede wszystkim bliskość ludzkich związków, klimat wspólnoty, może nawet nie uświadomianej ale okrzepłej w wieloletnim sąsiedztwie, wytworzonej przez generację. Czemuż nie przyjrza się temu socjologowi! Czyż nie jest to równie świetny temat, jak załoga fabryczna? Tyle że zwykle instrumenty badawcze nie za wiele mogą tu odkryć. Charakter bowiem zjawiska tkwi w jego tkance psychologiczno-historycznej, w klimacie, który uchwycić może tylko pióro literackie. Dowodem na to niech tylko będą „Podróże do Polski” Jarosława Iwaszkiewicza.

Oko mam raczej wredne, lata pracy w dziennikarstwie nauczyły mnie dostrzegać i załamania na świeżo wyprasowanym obrusie. Widzę więc na tej prowincji więcej, niż mogłoby się wydawać z moich notatek, ale po pierwsze — czego innego tam szukam, a po drugie — spisuję te notatki jakby w opozycji prze-

ciwko naszej ukochanej stolicy. Z jej natrętnymi ambicjami opiniotwórczymi, ze skłóconymi środowiskami, z owymi prometeidami, owymi

Konradami i Kordianami co parę lat zmieniającymi ścieżki swego pielgrzymowania, z jej optyką, czy raczej lunetą, którą patrzy na resztę kraju przez owe oddalające i pomniejszające szkła. A przecież tam, za rogatkami Warszawy, rozciąga się ponad dziewięćdziesiąt procent Polski.

Nie myślę utrzymywać, że żyją tam sami aniołowie. Ale w olbrzymiej większości ludzkie zapobiegliwej pracy, skrzętnego życia i, właśnie, życzliwości. Wynaturzyły się

tylko co nieco owe różne zimowe i letnie stolice. Pazerne Zakopane, pazerniejący Hel, których mieszkańcom przekreśliło się w głowie od powodzenia.

Jestem właśnie na Helu. Znam prawie każdy kamień tego półwyspu. Dobrze ćwierć wieku spędzałem wakacje w Chałupach, wioszczynie, pamiętam, biedniutkiej, spalonej zresztą przez wojnę. I na moich oczach dźwiganej przez Kaszubów. Z mozolnego trudu rybaków.

Nie byłem tu dość dawno. Panie Boże, domy kilkupiętrowe, wille jak smoki, kawiarnia pani leśniczyny wzięła do zato-ki. Mój gospodarz, Eryk T., po-

siwiał, ale chiop jak rydz. Teraz, zimą, żyje się tu jak przez całe pokolenia, praca i rodzina. Wyparowują sezon turystyczny tłumy wczasowiczów, którzy wkrótce zaduszą ten wspaniały kawałek Polski.

Erykowa, małżonka gospodarza, podaje na stół węgorze w sosie koperkowym, przysmak kaszubski, szykowany zwykle na święta. Eryk zaś to jest ten mądry chiop, który wali prawdę w oczy i nie ukrywa niczego. I dobrych zarobków i tej szarpiącej Kaszubów z Helu niegospodarności rybami, które oni łowią i sprzedają swojej centrali. Popatrz pan, powiada, od Władysława do Juraty domy jak pałace, nigdy się tak tu nie mieszkają, Hel i jego mieszkańcy byli biedni przed

wojną, byli biedni i długo po wojnie, teraz zaś jakby dobry wiatr wszystko odwrócił. Jak w tym wszystkim zmieścić taki bałagan? Jak zrozumieć, że nasze kobiety marnują pół dnia w kolejce, żeby nam kupić gacie? Popłyni pan w morze bez gaci? I tak wszyscy pokreśli jesteśmy reumatyzmem...

Erykowi przytakuje kilku sąsiadów, którzy właśnie nadeszli, ja jednak zbieram się w drogę, bo wiem, że większych gadułów jak helscy Kaszubowie nie ma. A czasu teraz mają sporo, odrabiają więc nie tylko książki, gazety i telewizję, ale także gadanie.

Jadę ku Juracie. W Kuźnicy nowe domy, kilometr dalej, na tak zwanej Syberii, niczym

na Ursynowie warszawskim. Jastarnia jak drugie Zakopane, tam chałupy zasłaniają góry, tutaj zatokę... I po raz setny pytam siebie, co za pokreśloni i pokreślni jest ten mój kraj. Mąka na kartki, gaci nie ma, w mojej warszawskiej kamienicy lokatorzy wywalają śmieci na schody, ludzie bez przerwy stękają, a od Tatr po Bałtyk, w każdej prawie zapadłej wsi, takie zmiany.

To jest ta właśnie polska metafizyka, że powtórzę swój własny cytat. Bo już od czterdziestu lat kochane państwo wmałwia w nas swoje nieustanne posłannictwo opiekuńcze, kuca przed nami i wszystko chce brać na siebie. No więc, po tych czterdziestu latach, teraz, wychowani trochę jak w

jordanowskich ogródkach, ze wszystkim do niego, jak do pani matki. Wydałeś nas, to teraz wychowuj. Nie ma sznurka — państwo. Autobus PKS się spóźni — państwo. Pijany konduktor — państwo. Fatalny film — państwo. Śmieci — państwo. Tak pojmowana relacja obywatel — władza bierze się nie tylko z idealistycznych programów, to także konsekwencja zawężenia bazy współrzędzenia Pasywnej obecności i rad narodowych, i samorządów, i organizacji terytorialnych i w ogóle niedostatecznej obecności ludzi w nieformalnych nawet związkach. Co zaś może inicjatywa ludzka widać jak się wy-
lezie z pociągu czy auta i po-

łazi trochę po tej prowincjonalnej Polsce.

I już jestem w Gdyni. Powiem tylko tyle, że mógłbym mieszkać w tym mieście. Pokój mam w hotelu, który także się „Gdynia” nazywa. Wspaniały. Tylko ta muzyka! Na korytarzach, w salach restauracyjnych, w kioskach hotelowych, przy recepcji, nad recepcją, w każdym zakamarku snuje się z głośników ta fatalna muzyka. Jak zresztą w całym kraju. W biurach, sklepach, samochodach, na basenie, na lodowisku, u pani kasjerki, na dworcu i u moich kolegów redakcyjnych przez ścianę. Opowiadał kiedyś dziennikarzowi Witold

Lutosławski, jak to nie mógł znaleźć na wielkim lotnisku w Brukseli jednego kąta bez głośników. I wołał przerażony o potrzebie ochrony człowieka przed agresją muzyczną. Kompozytor!

I co z tego? Co z tego grania? W tym gdyńskim hotelu, gdzie właśnie stanąłem, odbywa się przyjęcie ślubne. No i jak dochodzi co do czego, zapiewają nie wychodzą poza burzę, co huczy wokół nas. Okazuje się, że ta edukacja muzyczna, tak nachal-
nienie kolportowana, nie daje rezultatów. Bo szkoła, bo szkoła podstawowa zaniecha-

dług Moniuszki i Mickiewicza, recenzowałem przedstawienie „Madame Sans-Gene”. Najnowsza premiera to „Skrzypek na dachu” Jerry Bocka. Kiedy byłem u Gruzy, „Skrzypek” przechodził próby generalne. Zobaczyłem więc raz jeszcze „Widma” i nie żałuję.

Następnego wieczoru w Teatrze Dramatycznym, na premierze sztuki Aleksandra Fredry „Brytan Bryś”. No, może nie całkiem prapremierze, kto to jednak i kiedy grał był tę mało znaną bajkę dramatyczną autora „Zemsty”? Grał ją w 1901 roku

ła właściwie nauki kultury muzycznej. Budowania jej zrębów. Asymilowania jej do ogólniejszej edukacji osobowej.

No tak, ja tu z inwektywami przeciw muzyce, a przede mną wieczór w gdyńskim Teatrze Muzycznym. Na szczęście — tam jest wszystko w porządku. Prowadzi go już trzeci sezon Jerzy Gruza. Pi-sze się o tej scenie coraz lepiej i myślę, że jej powodzenie wynika ze świetnego słuchu tego artysty. Na repertuar światowy a także mądre promowanie polskich propozycji. Pisałem zresztą już w „Trybunie” o „Widmach” we-

Kotarbiński w Krakowie i sztuka padła po dwóch przedstawieniach. Dzieje się ona w nieznanej bliżej krainie i rozgrywa się wśród zwierząt. Nie pierwszozna to była w literaturze, a jak wiadomo ucieczka w alegorie służyła często aktualnym odniesieniom politycznym i społecznym.

Znawca i badacz twórczości Fredry, Stanisław Pigoń, utrzymuje, że „Brytan Bryś” wygląda na zagadkę i osobliwy szyfr. „Jakimś zaś dziwnym sposobem ustaliło się mniemanie, że zagadka to z tych, których rozwiązywać nie warto, jeśli szyfr, to taki, pod którym niczego ciekawego nie

można się spodziewać”. Tym chyba należy tłumaczyć fakt, że w nieubogiej przecież literaturze krytycznej o Fredrze nikt nad wynalezieniem klucza tutaj się nie trudził. I dalej, dokonując analizy utworu, Pigoń mówi, iż „nie ma wątplenia, że jest to odbicie nastrojów z początku kwietnia 1861 roku, przed pierwszymi w Galicji wyborami do sejmiku powszechnego”.

NO tak. Obawiam się, że teatr gdyński, wybierając tę sztukę, uległ pokusie wnikięcia w sprawy publiczne przy pomocy środków w miarę bezpiecznych. Fredro. XIX wiek, kostumy, a na dodatek świat zwierząt. Spod tych futerek lisich, tych wszystkich cwanych zwierzątków, idzie ku widowni jedno wielkie mruganie, wielkie perskie oko. Sami rozumiecie. Rozumiemy, rozumiemy, wolimy jednak, gdy rozmowa jest rzeczowa i męska, bez kabaretowych uników. Przedstawienie niby toczy się sprawnie, ostrzej jednak bawią się na scenie aktorzy, niż widownia. Ja zaś dość ucierpiałem, a cierpieć zawsze, gdy w teatrze mam do czynienia z dziećmi lub zwierzętami. Tym ostatnim warto także przetrząść skórę, by jeśli już chcą gadać jak ludzie, by więc artykułowały słowa czystiej i wyraźniej. Sztukę reżyserował Andrzej Markowicz. Mimo powyższych grymasów, trzeba mu oddać słowa uznania za wykonanie rzetelnej roboty teatralnej. Tak, tylko po co ona była?

RYSZARD KOSIŃSKI